ROK IV CZERWIEC 1932 NR. 6

PRZESZŁOŚĆ

CZASOPISMO HISTORYCZNE DLA WSZYSTKICH
WYCHODZI CO MIESIĄC POD REDAKCJĄ PIOTRA ŻUKOWSKIEGO

Dwa jarmarki w Żarkach 1855 i 1861 r.

Autor tego krótkiego, lecz wcale barwnego ustępu wpomnień należy do celniejszych naszych pamiętnikarzy. Był jednak dotychczas pogrążony w zupełnej niepamięci. Fragmenty swych pamiętników pomieszczał bowiem Jan z Oleksowa Gniewosz (1827+1892) w odcinkach redagowanych przez się czasopism jak „Strażnica Polska" i „Sztandar" oraz „Sztandar Polski"; w latach 1879—1887. Pochodząc z rodziny Wielkopolskiej, tu spędził Gniewosz lata młodości, poczem przeniósł się do Galicji. Roztoczył później we Lwowie ożywioną działalność publicystyczną, która ze względu na swój radykalno-narodowy charakter cieszyła się ostrem prześladowaniem władz austrjackich. W miesięczniku „Kronika miasta Poznania" przypomniałem szereg ustępów z pamiętnika Gniewosza, dotyczących przeszłości Poznania, sam również podałem ważniejsze daty z życia autora. Czytelników „Przeszłości" pragnę zapoznać z interesującem wspomnieniem o dwóch jarmarkach w miasteczku Żarki pod Częstochową, które dają autorowi sposobność znakomitej chociaż bardzo surowej charakterystyki ówczesnego społeczeństwa w latach wojny krymskiej i w przededniu bojów styczniowych. Ustęp pisany w r. 1879 i w „Strażnicy Polskiej" (nr. 3) drukowany.

Dr. Stanisław Wasylewski.

(Z pamiętników Jana Gniewosza.)

Było to w roku 1855, gdy po powrocie z pierwszego tułactwa do kraju i domu rodzinnego pojechałem na doroczny jarmark do Żarek, rozpoczynający się tamże z dniem 1 maja a trwający przez cały tydzień aż do św. Stanisława, który to dzień nazwano jarmarkiem „chłopskim". Wprawdzie zwiedzanie jarmarku w Żarkach połączone było z wielkiemi kosztami i niewygodami, ale, mieszkając tylko o milę drogi, miałem wszelkie ułatwienie.

Żarki w powiecie olkuskim trzy mile od Częstochowy, a 1 od granicy pruskiej, słynęły oddawna jarmarkami jak Łowicz, Łęczna, Skaryczów; Gniezno, Ułaszkowce. Szczególniej szlachta ciągnęła jak Mahometanie do Mekki i to w takich ordynku, jak się to dawniej na sejmiki i sejmy wleczono — z furgonami, służbą, nawet kucharzami. Do Żarek spędzano po kilkanaście tysięcy owiec, koni, bydła. Maleńką mieścinę, liczącą zaledwie 1500 mieszkańców;

rozszerzało obozowisko na wiorstę drogi w koło. Szczególniej ku Leśniowie, gdzie była kilkadziesiąt morgowa łacha wydmy piaszczystej, pokrytej kępkami łoziny nad rzeczką i jałowcami po pagórkach, przedstawała się jakby jedna olbrzymia owczarnia. W mieście panowała bajeczna drożyzna. Za lichą stancyjkę bez podłogi, spichlerz lub stodółkę, a czasami nawet chlew jaki oczyszczony płaciło się na dobę po kilka, kilkanaście rubli srebrem. Spędzano tabuny koni, kupcy przyjeżdżali z Warszawy, Kijowa, Moskwy; ba nawet z Odessy. Jako niezbędne akcesorja, koczujące teatry, linoskoki, bandy muzyczne, arfiarki, krajowe haremy odalisek, a przedewszystkiem najsłynniejsi koronni, litewscy, podolscy, wielkopolscy i z Czerwonej Rusi szulerzy zjeżdżali się jakby na kongres międzynarodowy.

Przyjeżdżali artyści z koncertami a przez szereg lat *Rajczak z Warszawy*, grywający na trąbce sola, i improwizator błazen wędrujący *Soter Rozbicki* robili świetne interesy.

Nie wolno mi pominąć jeszcze jednej kategoryi to jest elewów, pochodzących ze szkoły *Turkuła*, ministra carskiego dla spraw Królestwa Polskiego. Nosił on głównie tę tekę demoralizacji, na który to cel odbierał z kas petersburskich znaczne fundusze. Turkuł był motorem demoralizacji szlachty, szczególniej młodszego pokolenia, to też każdy elew, wyszedłszy z pod jego ręki, był jak Moskal mówi: „*krugom padlec*“. W tej epoce, o której mówię, słynęli siostrzeniec Turkuła *Kołaczkowski* z Cielętnik pod Koniecpolem (ten sam, który w r. 1862 przegrał pieniądze narodowe w Hamburgu) i *Bilski* w Miechowskiem (którego syn stanął potem przed sądem przysięgłych w Przemyślu). Jest niezaprzeczonym faktem, że szkoła Turkułła zrujnowała rodziny szlacheckie w ziemiach polskich, co najmniej na sto miljonów rubli srebrem. Kto chociaż czas jakiś patrzał na upadek fortun i zniczemnienie właścicieli, nie zarzuci mi przesady.

Jarmark taki jak w Żarkach, była to ośmiodniowa orgja bez dnia, bez nocy. W chwili, o której mówię, brakowało tylko pieniędzy, ale za to upodlenie i upadek moralny dochodziły do zenitu. Liczyłem wtenczas 29 lat i, jak to powiadają, zwiedziłem już przedtem trochę świata i patrzałem na niejedno, a jednak, przyjechawszy do Żarek rano 3 maja i przypatrując się przez kilka dni z rzędu temu upodleniu kraju, rumieniłem się ze wstydu, zmuszony słuchać i patrzeć na wyuzdany cynizm, rabunek wzajemny, rozbój — a potem serce się krwawiło z bólu, że ta Polska, na którą bracia z lodów Sybiru, z kopalń Nerczyńska, z tułactwa po całej kuli ziemskiej jak na świętą męczennicę patrzą i o niej śnią, dąży do bezdennej otchłani.

Szulerzy, koronni pijacy i wszelkiego rodzaju indywidua, biegłe w szerzeniu demoralizacji, doznawały od carskich czynowników najtroskliwszej nietylko tolerancji ale i opieki.

Na jarmarku w Żarkach i innych rozgrywały się losy nawet znanych fortun pańskch. Szampan płynął strugami. Grał p. hrabia, szlachcic, dziedzic, dzierżawca, oficjalista, urzędnik, przemysłowiec, ksiądz, student. — Każdy szuler był specjalistą i miał swoją klijentelę, którą przy pomocy płatnych ajentów ciągnął za włosy w piekielną otchłań. Żydostwo i lichwa różna, czyhając na wydarcie szlachcicowi fortuny, czyhała jak szatan na duszę pode drzwiami tych nor piekielnych, aby podsunąć pieniądze i brać procenty bajeczne w wekslach i zapisach. Podczas jarmarku była czynność kancelarji „rejentów" (notarjuszów) potrajana, dzień i noc sporządzano zapisy.

Dziwimy się naprzykład dzisiaj, że chłopstwo daje się często łapać po jarmarkach rzezimieszkom, grając z nimi w tak zwane „kupki" — czyli trzy karty, a myśmy wtenczas, to jest w 1855 r. jeszcze widzieli, jak do takich samych rzezimieszków, oberwańców nawet przegrywano po kilka set, po tysiącu rubli!

Gubernialni czynownicy powiatowi, żandarmerja, policja — zjeżdżali się jak na gody weselne. Co mówię, jak baszowie po haracz, którym się wszystko i wszyscy musieli opłacać, a ta carska gangrena zakładała za te łapówki znowu na swoją rękę banki i wspólnie w porozumieniu z szulerami obdzierali zdziczałych, szalonych trunkiem klijentów.

Żandarm prosty jeden lub dwóch zjawiało się co pół godziny w każdej szulerni, a bankier rzucał im za każdym razem po rublu lub więcej.

Rutynowani szulerzy szpiedzy przyjeżdżali z Warszawy z listami żelaznemi, tym się znowu i urzędnikom wyższym opłacały niższe stopnie czynowników carskich.

Pamętam jak dziś, wszedłem w południe do zaimprowizowanej restauracji warszawskiej. W dosyć obszernej sali, największej jaka była w Żarkach, i kilku pokojach widzę zastawione stoły, a za niemi cisną się poważne postaci siwowłosych starców o hetmańskich fizjognomiach, obok nich ówcześni gogi, szlachecka dziatwa, młokosy 16-letnie, którzy pouciekali ze szkół lub ich napędzono, urzędnicy, oficjaliści. Dalej jakieś dwuznaczne, tajemnicze, z jaszczurczem spojrzeniem postaci, komendanci żandarmów, księża nawet — zgoła cała reprezentacja inteligentnie ubranego społeczeństwa jarmarcznego.

Odaliski warszawskie wyróżowane w strojach ponętnych zastępują kelnerów. Stoły gną się nietyle pod jedzeniem, jak pod baterjami win, porteru, szampana. W końcu sali na estradzie muzyka warszawska Rajczaka na srebrnej trąbce wygrywa krakowiaki.

Po każdej pauzie muzykanci śpiewali zwrotki, których każde słowo zionęło bezwstydem, wstrętnym cynizmem, podłotą moralną. Każdy taki refren przyjmowany był grzmotem oklasków. Ruble, kilkorublówki, nawet pięćdziesiątki rzucano hojnie na tacę, obnoszoną przez umalowaną rozpustnicę jako hołd za szkarady te i bezeceństwa.

Zwykłem następstwem tych orgij jarmarcznych było, że nie jeden szlachcic, który przywiózł z sobą kilka tysięcy rubli na zakupno stada owiec, koni, lub innego inwentarza żywego, nietylko te pieniądze przegrał, ale w dodatku konie, któremi przyjechał, bryczkę lub powóz, zegarek, futro, obrączkę ślubną. — Po takiej łaźni wymykał się chyłkiem żydowską furmanką do domu. Dzierżawca przegrał ratę często całoroczną. Oficjalista — pensję lub pańskie pieniądze — Młokos, o którym żydzi wiedzieli, że miał majątek, podpisywał skrypta 1000 za sto. — Jak dobrze szło, to i całe wioski szły na kartę, — szły resztki majątków. W niewielkim okręgu od Częstochowy pod Kraków, w kilku latach od roku 1861 ulotniły się z rąk właścicieli miljonowe fortuny. Nie dosyć, że poginęli sami, ale pociągnęli za sobą mnóstwo zacnych rodzin, które, wierząc w ich kolosalne pańskie fortuny, składały u nich w najpewniejszym depozycie długoletnie oszczędności.

Taki stan Polski pod zaborem moskiewskim był po kampanji krymskiej, podczas której „psiarnia carska" wysilała się, aby orgjami odurzać tych, którym wtenczas nic łatwiejszego nie było jak jednym zamachem przerzucić moskiewską zgniliznę i śmieci poza brzegi Dniepru.

Zaledwie kilka pułków stało w koronie i na Litwie. — Na Ukrainie lud się sam zgromadził i nieomal na klęczkach błagał „Lachów" o przewództwo. Napróżno! — Bo „bałagulstwo" było pijane orgjami.

Jak na ohydę naszego upadku moralnego, przysłał car kilkanaście stad dwunożnych bydląt moskiewskich, których przezwał „opołczeniem". Jedynie przekupki po miastach miały odwagę tłuczenia tych rycerzy miotłami. Jednego skinienia, jednego słowa było potrzeba, aby zastępy rekrutów, gnanych na jatki sebastopolskie i Czarne Rzeczki, rozbiły konwoje i zamieniły się w dzielne szeregi kosynierskie.

Któż winien, że się tak nie stało? — Oto nikt inny, jak tylko ówczesne świeczniki Targowiczan, którzy korne zasyłali w duchu modły o zwycięstwo dla cara i szkoły Turkuła.

Dopiero zawiązanie się Towarzystwa Rolniczego rzucało w zdrowsze umysły promienie światła aż do roku 61, do znanych wypadków z ostatnich dni lutego, marca i 8 kwietnia.

Otóż cud się stał Boży! — Jakby czarodziejską różczką dotknięta, jakby Chrystus powiedział: „dzieweczka nie umarła, ale śpi" i kazał jej wstać i chodzić; Polska uderzyła się w piersi, czyniąc skruchę. Nagle uszlachetniała i stanęła do zapasów z wrogiem w całym blasku świetności. Niestety Targowica i tu stanęła po stronie cara.

Dnia 3 maja 1861 roku pojechałem znowu do Żarek — ale niktby już nie poznał jarmarku z 1854 r. i następnych dni. Wprawdzie zjazd był znacznie mniejszy, ale reżyserowie orgji przybyli w komplecie, a nawet więcej ich było — gdyż w Warszawie nie mieli już miru.

Pierwsze dni szulerzy pozaciągali na znane kwatery, ale gdy nikt nie przychodził, sami wyszli na łowy, zdziwili się niepomału, że nawet bliżsi znajomi od nich stronią. Śpiewacy krakowiaków o mało wraz z basami i trąbami nie powylatywali za drzwi w restauracji.

To były wieści o poprzednim dniu czyli pierwszym jarmarku, jakie mi zaraz po wjeździe do miasta opowiadano. Lecz to był dopiero początek cudów, jakie się dziać miały.

O godzinie 10 przed południem zadzwoniono w kościele OO. Paulinów, a jakby na dane hasło ustały sprawy jarmarczne i kto żył, dążył do świątyni Pańskiej. Ksiądz Przeor pontyficaliter celebrował mszę św., a pod niebiosa wznosił się potężny i zarazem rzewny hymn: „Boże coś Polskę". A były wszystkie stany w kościele, nie brakowało nawet żandarmerji, która nie była niemym świadkiem, ale śpiewała z korną rzeszą.

Przez cały czas jarmarku aż serce rosło i łza radości cisnęła się do oka, patrząc, że widoma Łaska Boża spłynęła na nieszczęśliwy naród Polski. Trzeba było być nawskroś wyziębionym, aby w łaskę tę nie uwierzyć. Chociaż nie było jeszcze radości w oczach, ale w każdem obliczu dopatrzyłeś szlachetnej rezygnacji. To byli znowu Polacy, krew z krwi, kość z kości.

Kto pokończył interesa, wracał do domu.

Szulerom, którzy niepoprawni tentowali o założenie banków, zagrożono tak sensacyjną admonicją, że cichaczem poczmychali, narzekając na przewrót świata i na niewdzięczność ludzką.

Jeszcze raz na tem miejscu powtarzamy, że tylko zła wola lub bezmyślność mogą twierdzić, że powstanie 63 roku zniszczyło kraj. Zapatrywanie to jest nader względne, bo wielkie pytanie, czy bez promieni światła 61 roku naród nie byłby głębiej zabrnął moralnie w ubóstwie ducha, a to przecież byłaby najboleśniejsza strata. *J. G.*

Jan Konstanty Żupański, księgarz poznański.

Jan Konstanty Żupański urodził się 30. 6. 1806 r. w domu, należącym do jego ojca, Johanesa Constantinidesa Żupańskiego, rodem Greka, znanego kupca poznańskiego który przybył w roku 1777 z miasta Tessaloniki z Grecji do Poznania, gdzie przyjął obywatelstwo polskie, został właścicielem kamienicy przy Starym Rynku nr. 58 i trudnił się handlem wina. Młody Jan uczęszczał do gimnazjum „ad sanctam Marja Magdalenam" od roku 1818—1825 i dnia 22. III. 1825 r. uzyskał tamże świadectwo dojrzałości. Prawdopodobnie w tym samym roku udał się na wyższe studja prawnicze do Berlina. W powstaniu listopadowem prawdopodobnie nie bierze udziału. W latach 1830-tych skończył wydział prawniczy w Berlinie i aż do roku 1835 był aplikantem przy Wyższym Sądzie Krajowym w Berlinie. W roku 1835 umarł jego ojciec, wtedy wrócił do Poznania. Z początku był korespondentem kilku współczesnych cza-

sopism niemieckich, tudzież przetłumaczył z języka polskiego na język niemiecki dzieło Józefa Hubego „O prawach ludów“, a także przełożył z języka niemieckiego na polski H. Kotty'ego p. t. „O użytkowaniu lasów“.

W roku 1838, widząc brak polskich księgarń, tudzież gwałtowną ich potrzebę ze względu na nadzwyczaj silnie rozwijający się w owym czasie ruch na polu naukowem, zakłada, mając wielki kapitał po ojcu, księgarnię wydawniczą we własnym domu przy ul. Nowej nr. 5/7. Pierwszem dziełem, przezeń wydanem, były Kaczkowskiego „Tablice synchronistyczne do dziejów Polski (1841).

Zanim atoli naszkicujemy na dalszem miejscu jego działalność wydawniczą, to omówimy jeszcze dalsze koleje jego pracowitego żywota. I tak w latach 1838—1846 był członkiem „Towarzystwa Pomocy Naukowej“ dla biednej uczącej się młodzieży, którego założycielem i prezesem był, jak wiadomo, słynny w owym czasie lekarz poznański Dr. Karol Marcinkowski.

W założonym w r. 1857 w Poznaniu Towarzystwie Przyjaciół Nauk bierze również wydatny udział w jego pracach, a mianowicie spotykamy się z jego nazwiskiem przedewszystkiem w pracach „Wydziału nauk historycznh i moralnych“, gdzie w roku 1867 został nawet przewodniczącym. Doceniając ważność kompletowania bibljotek cennemi dziełami, księgarz nasz ofiarował wielu bibljotekom znaczne ilości dzieł, wydanych zarówno własnym nakładem, jako też komisowych. I do tak świeżo powstałej bibljoteki Tow. Przyj. Nauk ofiarował wielką ilość dzieł, wydanych własnym nakładem, tudzież wielką ilość komisowych. Podobnie dla bibljoteki Raczyńskich w Poznaniu złożył znaczną ilość dzieł w darze. To samo słyszymy i o darach na rzecz Tow. Naukowego w Toruniu. Za pośrednictwem Emilji Szczanieckiej Żupański ofiarował swoje wydawnctwa do Szkoły Polskiej w Batignoles.

Najważniejszy atoli tytuł do sławy Żupańskiego stanowią jego wydawnictwa dzieł naukowych. Ponieważ wydawał przeważnie dzieła poważne i mało pokupne, przeto ponosił często na nich b. znaczne straty materjalne. Aby choć w części powetować poniesione straty, wydawał rozliczne dzieła szkolne takich autorów, jak: Hipolita Cegielskiego, (Gramatyka języka polskiego, nauka poezji) Władysława Nehringa (Kurs literatury polskiej) X. J. B. Delerta. (Historja Kościoła Katolickiego, Liturgika, Teologja) S. Gruszczyńskiego (Nauka o zdaniu) T. Klonowskiego (Zbiór pieśni szkolnych) Dr. Jana Rymarkiewicza (Poezje dla wieku młodszego. Wzory prozy na wszystkie jej rodzaje, stopnie i kształty). Ewarysty Estkowskiego (Elementarzyk, Metoda pisania i czytania, pisma pedagogiczne). Dr. Jana Szafarkiewicza (Historja naturalna dla szkói) i wiele innych. Poza tem czerpał dochody z prowadzonej przez siebie przez szereg lat wypożyczalni książek obcych niemieckich i francuskich.

Również w jego księgarni były do nabycia portrety zasłużonych ludzi jako też obrazy, głównie treści patrjotycznej, za które był karany wysoką grzywną pieniężną, oraz za sprowadzania dzieł drukowanych poza granicami Prus.

Przypatrzmy się teraz wydawnictwom naukowym Żupańskiego. Dla historyka do dziś dnia jest nieocenionym zbiór źródeł do dziejów politycznych Polski w II połowie XVIII w. p. t. „Pamiętniki z XVIII w.“ wydawane w 16 tomach od 1861—1875 r. Niektóre z nich cieszyły się taką pokupnością, że wydawane były powtórnie. Dziś jeszcze w pracach, tyczących się ostatnich dziesiątków lat Polski niepodległej, nasi uczeni posługują się m. in. pamiętnika Pistora, pamiętnikami szewca Jana Kilińskiego, pamiętnikami Józefa Zajączka o powstaniu 1794, Filipa Lichockiego Prez. m. Krakowa z opisem wybuchu powstania w Krakowie 1794. Następne tomy zawierają pamiętniki Jen. Henryka Dąbrowskiego, pam. jen. Józefa Sułkowskiego tłum. Ludwika Miłkowskiego, II rozbiór Polski z pam. Siewersa, Dumouriez: Wojna w 1770 i 1771 r. Wojdy: o rewolucji polskiej z r. 1794. Ks. Walerjana Kalinki „Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta (w 2 tomach), pam. Wawrzyńca Engeströma, posła Szwecji w czasie Sejmu Czteroletniego w Polsce w tłum. Józefa Ignacego Kraszewskiego i kilka innych. Tak się w krótkości przedstawia treść tego wydawnictwa. Każdy niemal tom tego zbioru zawiera przedmowę wydawcy, który krótko a treściwie uzasadnia cel powziętego wydawnictwa. Kilka tomików zawiera nawet zaraz po karcie tytułowej podobizny autorów pamiętników, które rytował Stanisław Łukomski. Tyle, co do pamiętników.

Jednym z najważniejszych działów nauki, w który specjalnie Żupański włożył dużo pracy i pieniędzy, to były dzieła historyczne.

Spotykamy się więc tutaj przedewszystkiem z nawiskiem Józefa Łukasiewicza, bibljotekarza bibljoteki Raczyńskich w Poznaniu. Należą tutaj takie dzieła, jak 1) Dzieje Kościołów wyznania helweckiego w dawnej Małopolsce, 2) krótki opis historji kościołów w dawnej diecezji poznańskiej, 3) krótki historyczno - statystyczny opis wsi i miast w dziś. pow. krotoszyńskim po rok 1794 (w 2 tomach), 4) historja szkół w Koronie i Wielkiem Księstwie Litewskiem (w 4 tom.). Dalej spotykamy dzieła jak Stanisława Barzykowskiego „Historja powstania listopadowego (w 5 tom.) Fryderyka Skarbka „Dzieje Księstwa Warszawskiego“ (w 2 tom.) i „Dzieje Królestwa Polskiego“. Teodora Morawskiego „Dzieje Narodu Polskiego“ (w 8 tom.). Jędrzeja Moraczewskiego „Wypadki Poznańskie w 1848 r. i Starożytności Polskie“. Amilkara Kosińskiego (gen. z czasów wojen Napoleońskch) „Rzymianie w Grecji“ i „Zbiór korespondencji z lat 1815—1820“. Należą tutaj wydania zbiorowe takich autorów, jak Maurycego Mochnackiego p. t. „Dzieła w 5 tomach“. Tom pierwszy zawiera listy do rodzeństwa z Francji, pisane w latach 1832—33. Tom II i III Powstanie narodu polskiego w r. 1830—31, wreszcie Tom IV. Pisma rozmaite i Tom V O literaturze polskiej w w. XIX. oraz Joachima Lelewela, wydane pod ogólnym tytułem „Polska, dzieje i rzeczy jej“ w 16 tomach. Tom I—V obejmują „Polskę wieków średnich“; „Narody na Ziemiach Słowiańskich“. Z dalszych wymienię. „Dzieje Polski potocznym sposobem

opowiedziane"; „Rozbiory dzieł obejmujących albo dzieje, albo rzeczy polskie różnemi czasy"; „listy"; „3 konstytucje polskie" itd.

Nadmienić wypada, że Lelewel za wydanie swoich dzieł nie chciał nigdy przyjąć żadnego honorarjum od Żupańskiego, wiedząc dobrze o tem, że są to dzieła mało pokupne i skutkiem tego deficytowe. Żupański jednak, powodowany wysoką ambicją wydawcy i rozumiejąc, że autor powinien mieć dochód ze swoch dzieł, jeździł do Lelewela do Brukseli, by zawozić mu honorarjum za sprzedane egzemplarze.

Również znany historyk poznański, Dr. Kazimierz Jarochowski, wydał kilka swoich nowości historycznych nakładem Żupańskiego np. „Oblężenie miasta Poznania przez Patkula"; „Wielkopolska w czasie pierwszej wojny szwedzkiej" oraz „Literaturę polską w I połowie bieżącego stulecia".

Obecnie omówimy drugi ważny dział wydawnictw księgarni Żupańskiego, a mianowicie dzieła z zakresu literatury pięknej.

Na pierwszy plan wysuwają się tutaj dzieła J. I. Kraszewskiego. I tak widzimy z korespondencji J. I. Kraszewskiego z Żupańskim, jak się toczyły rokowania, tyczące się wydawnictwa dzieł tegoż, tak bardzo poczytnego w swoim czasie autora. Spotykamy w nakładach Żupańskiego takie dzieła Kraszewskiego (wydawane niekiedy pod pseudonimem Bolesławity).

„Rachunki" z r. 1866, 1867, 1868 i 1869; Dziadunio; Dziecię starego miasta; My i oni; Omnibus; Szpieg, Tułacze, Żyd; Komedja „Stare dzieje"; Równy Wojewodzie; Panie Kochanku; Polska w czasie trzech rozbiorów i wiele innych mniej ważnych dzieł i powieści.

Wielu autorów dzieła, które z tego powodu, że cenzura nie pozwoliłaby ich drukować w b. dzielnicy i b. Królestwie Kongresowem i ze względu na łagodną w owym czasie cenzurę pruską, znachodziły chętną gościnę w Poznaniu i wychodziło nakładem Żupańskiego. Poza dziełami Kraszewskiego wydawca nasz wydawał dzieła Teofila Lenartowicza „Brankę", „Lirenkę", „Zachwycenie" i „Błogosławioną", 2 tomy poezyj tegoż — Lucjana Siemieńskiego. Podania i legendy historyczne, poezje, 3 tomy sławnych w swoim czasie „Portretów literackich"; oraz „Roztrząsanie i poglądy literackie". W bardzo ładnych pod względem zarówno typograficznym, jak i oprawy wydał niektóre z arcydzieł Mickiewicza, jak: Grażynę, Konrada Walenroda, w tł. Feliksa Wrotnowskiego 4 tomy „Literatury Słowiańskiej", oraz Malczewskiego — Marję. Z pisarzy wielkopolskich wydał m. in. gen. Franciszka Dzierżykraj-Morawskiego „Bajki" i „Dom Starego Wieszcza Wielkopolskiego". Antoniego Małeckiego (późniejszego prof. Uniwersytetu we Lwowie) „Grochowy Wieniec, czyli Mazury w Krakowskiem oraz „List żelazny", a także Hieronima Feldmanowskiego (konserwatora Tow. Przyj. Nauk) Drobnostki poetyckie i pieśni ilyrskie oraz tłum. z włoskiego „Życie Benwenuta Cellini, rzeźbiarza włoskiego".

Ważny dział stanowią również wydawnictwa rozlicznych mów pogrzebowych na cześć znakomitych Wielkopolan, które w naszych czasach stanowić mogą ważny przyczynek do życiorysów tychże. Spotykamy tutaj nazwiska takich księży, jak ks. Władysława Chotkowskiego, ks. Aleksego Prusinowskiego, ks. Jana Chryzostoma Janiszewskiego, ks. Florjana Stablewskiego i innych.

Z tłumaczeń arcydzieł obcych wymienimy: Sofoklesa i Eschylosa Tragedje w przekładzie Dra Zygmunta Węclewskiego i Antoniego Małeckiego, Bukoliki Wergiljusza i Horacego „Listy" w tłumaczeniu Dr. Marcelego Motty'ego i t. d.

Również i nauki filozoficzne znachodziły chętnego nakładcę w osobie naszego księgarza. Znany filozof wielkopolski Dr. Karol Libelt wydawał m. in. takie swoje dzieła u Żupańskiego, jak: 6 tomów „pism pomniejszych"; „System umnictwa czyli filozofji piękna", „Dwaj bracia Śniadeccy", „Dziewica Orleańska" i inne. Z dzieł Jana Śniadeckiego znachodzimy tutaj „Listy w sprawach publicznych od r. 1788—1830 psane", a Bronisław Trentowski wydał: „Stosunek filozofji do cybernetyki czyli sztuki rządzenia narodem.

Jak więc widzimy z tego pobieżnego przeglądu wydawnictw Żupańskiego, to jego działalność księgarsko-nakładowa obejmowała rozliczne kręgi umiejętności i to zarówno praktycznych (jak rozmaite podręczniki szkolne), jak i poważnych naukowych i to z różnych zakresów. A oprócz tego prowadził również handel dziełami oddanemi w komis.

Jan Żupański umarł 30. XII. 1884 r. w Poznaniu. Na pogrzeb jego przybyły liczne delegacje Greków z Krakowa i Warszawy. Został pochowany na cmentarzu gminy grecko katolickiej w Poznaniu.

Wkońcu nadmienić wypada, że po śmierci Żupańskiego znaczną część sortymentu (składającego się głównie z dzieł starszych) kupił Jarosław Leitgeber, a całą księgarnię Dr. Zygmunt Celichowski, plenipotent hr. Władysława Zamoyskiego z Kórnika, który prowadził ją nadal pod firmą „J. K. Żupański" (Dr. Z. Celichowski) w Poznaniu" aż do roku 1894, poczem sprzedał ją Spółce Akcyjnej Wydawniczej w Krakowie.

Tak skończyła swój żywot księgarnia, datująca swoje istnienie od r. 1838.

(—) Mgr. Fil. Tadeusz Żółkowski.

O wiankach.

Kolisto upleciona wiązanka z kwiatów lub ziół zowie się wieńcem lub wiankiem. Wieniec w pojęciach narodu polskiego był zawsze godłem niepokalanego dziewictwa. Stąd dziewczęta ubierały głowy swoje w wianki, których mężatki nigdy nie nosiły, bo zabraniał im tego zwyczaj narodowy będący prawem zwyczajowem. To też gdy Dąbrówka, żona Mieczysława I, wychowana pod wpływem oświaty niemieckiej, lekceważyła sobie ten zwyczaj i w

wieku podeszłym nie „kwefiła“ głowy, ale na wzór dziewic przystrajała się w „czółko“ i wieniec, tak to się dziwnem wydawało Polakom, że aż przeszło do podań i na karty dziejopisów. Dziewica, która postradała swój wianek, już go nigdy potem na skronie swoje włożyć nie mogła. Obcinano jej warkocz (jak mężatce przy oczepinach) i zawiązywano głowę w biały „rąbek“. Stąd w tysiącznych pieśniach ludu polskiego utrata wainka znaczy utracone dziewictwo, stąd pochodzą wyrażenia staropolskie: „panna bez wianka“, „w wieńcu umarła“, „rutkę sieje“, to znaczy, że do wianka jej potrzebuje, który nosi, nie wychodząc zamąż. Statuta diecezji włocławskiej z czasów Jagiełły zakazały duchowieństwu kujawskiemu noszenia wieńców na głowie podczas wesel i tańców. Był to widocznie stary zwyczaj miejscowy, o którym mówi około r. 1419 w swoim edykcie archidyakon włocławski Stanisław z Komorznik, a i prymas Łaski w diecezji gnieźnieńskiej za Zygmunta Starego, który także nieraz chadzał w wieńcu różanym. W czasie obchodów weselnych wianek odgrywał ważną rolę. Ślubny wieniec był ostatnim, który zdobił czoło dziewicy. Wicie wieńców dla panny młodej i pana młodego podczas „dziewiczego wieczoru“ z towarzyszeniem rzewnych pieśni było obrzędem wzruszającym i bardzo pięknym. Gdy panna młoda wnosiła do świetlicy rutę na wianki, towarzyszki jej podnosiły śpiew starożytny:

Rozsypała Kasienka,
Drobną rutkę po stole,
Któż tę rutkę pozbiera,
Kasi wianek uwije?

„Ojczeńko rutki nie zbiera, bo w niej nadzieję małą ma“. Więc z tem samem zapytaniem pieśń zwracała się do matki, natsępnie do siostry i brata, ale i oni rutki zbierać nie chcieli, aż „Jasieńko rutkę pozbierał, bo w niej nadzieję wszystką miał“. Po uwiciu wieńców dziewczyna, potoczywszy wianek po stole, wołała: „Trzymaj ojczeńku sokole“. Ale ani ojciec, ani matka, ani brat i siostra wianka nie zatrzymali, dopiero:

Jasieńko wianek zatrzymał
Bo w nim nadzieję wszystką miał.

Gdzie przybywali na „dziewiczny wieczór“ drużbowie po wieńce, tam bywał piękny, uroczysty taniec polski z wieńcami. Nazajutrz przed wyjazdem do ślubu następowało oddanie wieńca pannie młodej z przemową „marszałka weselnego“. Lud dotąd zachowuje zwyczaj tych „owacyj“, na które wysilał się przed wiekami dowcip staropolski, jak to widzimy ze słów Miaskowskiego: „Miewał wieniec swój dowcip przed laty“. Kupno wieńca u braci panny młodej przez drużbów pana młodego, a później uroczyste zdejmowanie go z głowy przy oczepinach stanowiły dalszy ciąg obrazów tego poetycznego i czysto słowiańskiego obyczaju w życiu domowem rodziny polskiej. Przy obchodach rolniczych, jak dożynkach i okrężnem, wieniec główną grał rolę. Wielkopolanie nazywali i nazywają nawet do dziś dnia dożynki „wieńcem“. Wieniec kłosiany żyzność znaczy, tego więc używają żeńcy, zebrawszy z pola“, powiada Petrycy w książce swojej z roku 1609. Wieniec dożynkowy, który gospodarzowi po zakończeniu żniwa przynosi z pola na czele gromady najdzielniejsza żniwiarka, bywa wspaniały, kształtu piramidalnego uwity z kłosów żyta, pszenicy, kwiatów, a nieraz jabłek i orzechów, jako symbol plonu pól, sadów i lasów. Podczas sobótek dziewczęta wiły wieńce z bylicy. W ową noc świętojańską z 23 na 24 czerwca, „gwoli wróżbom zamążpójścia“, płynęły wianki dziewcząt po falach Wisły, Warty, Niemna i po innych „dunajach“ naszych. Świętojańskie „Wianki“są jednym z najstarszych i najpiękniejszych prastarych polskich zwyczajów. Dziewczęta, zebrane o zmroku, rzucają swe wianki na nurty rzeki, a młodzieńcy na łódkach idą w zawody za wieńcami. Dola wianka, komu się dostanie, czy zatonie lub popłynie w kraj świata, stanowi wróżbę dla dziewczęcia, powód do niepokoju, radość, nadziei —

Na Mazowszu nad Narwią przy puszczaniu wianków dziewczęta śpiewały prześliczną pieśń:

W polu lipieńka, w polu zielona,
Listeczki opuściła,
Pod nią dziewczyna, pod nią jedyna,
Parę wianuszków wiła.

Oj — czego płaczesz, moja dziewczyno
Ach — cóż co za niedola?
oj — nie płacz Kasiu, smutnaś po Jasiu,
Ach będziesz co go miała.

O mój Jasieńku, o mój jedyny,
Da stalać mi się szkoda,
Uwiłam oi ja parę wianuszków,
Zabrała mi je woda.

Moja dziewczyno, moja jedyna,
Nie frasuj ty się o nie,
Oj — mam ja parę białych łabędzi,
Popłynąć one po nie.

Już jeden płynie, po rozkioinie,
Goni za wiankiem strzałą,
Już drugi płynie, aż się odhynie,
Ale z pociechą małą.

Łabędzie płyną, wianeczki toną,
Bystra je woda garnie,
Moje wianeczki, z drobnej ruteczki,
Mamli was stracić marnie?

Łabędzie płyną, wianeczki giną,
Bystra je woda niesie,
Nie masz wianeczka, moja dzieweczko,
Już ja cię nie pocieszę.

Łabędzie wróćcie, serca nie smućcie,
Wianeczka nie przyniosły,
Tylko rąbeczek, to na czepeczek,
Na twoje złote włosy.

Powszechny był w Koronie i Litwie zwyczaj poświęcania wianków w oktawę Bożego Ciała, podczas ostatniego nieszporu. Woń ziół uważana była jako symbol cnoty, a Kościół w modlitwie, którą odmawiał kapłan przy ceremonji poświęcania, prosił Boga, aby przyjął wonne cnoty tych, którzy składają Mu na ołtarzu wieńce i zioła. Wieńcami zdobiono monstrancję podczas tego nabożeństwa. Tym sposobem dawne znaczenie wieńców i ziół sobótkowych w pojęciach ludu polskiego uświęcone zostało przez Kościół. Wianki te i zioła poświęcone zawieszano na ścianach, u obrazów lub nad drzwiami, i przechowywano przez rok cały, przypisując im cudowne własności. Kładziono je też pod podwalinę zakładanych domów, pod pierwszy snop, zwieziony do stodoły we żniwa, okadzano jak sobótkowemi dom i gumna w przekonaniu ochrony od pioruna, także dobytek w wilję św. Jana i dzieżę chlebną. W wielu domach wito zawsze dziewięć tych wianków, każdy z innego ziółka, a mianowicie: z macierzanki, rozchodniku, nawrotka, kopytniku, rosiczki, mięty, ruty, stokroci i barwinku. Używany był także lubczyk, kopelnik, targownik i dzwonki, w krakowskiem bobownik i niezapominajki, w Wielkopolsce gałązki lipy i jabłecznik. Wiankiem z rozchodniku okadzano dom przed burzą, wierząc, iż od tego rozchodzą się chmury gradowe i pioruny. W języku staropolskim było wyrażenie „wiankami nakadzić“, a gdy komu przychodziło coś bardzo łatwo i szczęśliwie, mówiono: „jakby wianki wił“.

Szymonowicz w sielankach powiada: „I wieniec piękniejszy jest, kiedy przeplatany“, to znaczyło: kwiatami różnych barw, Falibogowski bowiem (za Zygmunta III) pisze: Panienka kiedy wije, część go jasnemi, część ciemnemi kwiatkami przeplatać zwykła“. Odwiecznym typem wianka dziewiczego u ludu w Polsce był wianek, jak dłoń maleńki, ruciany. Ruta dlatego została uprzywilejowaną, że jej listki zachowują pod śniegiem przez całą zimę piękną zieloność. Jan Kochanowski mówi o „wieńcu rucianym“. U szlachty, mieszczan, a potem i u ludu wszedł w użycie i zaczął rugować rutę rozmaryn, wreszcie mirt. Lud pod Krakowem kupuje gotowe wianki ślubne, ze świecideł papierowych i blaszek robione. O ile wieniec z kłosów zboża był symbolem plonu, o tyle ze słomy wymłócony był obelżywy, jako symbol utraconego panieństwa. Wieniec grochowy, czyli z pustych uwity grochowin, oznaczał odprawę dla zalotnika, płonność jego zamiarów. Młodzianowi, za którego wydać panny nie chciano, dawano to do zrozumienia grzecznym sposobem przez podanie na obiad czarnej polewki (na Żmudzi potrawy zwanej „szupienie“), postawienie na stole arbuza, lub ukazanie mu „grochowego wieńca“.

M. Mituła.

Nauki ścisłe w Grecji starożytnej. Od Pitagorasa do Sokratesa.

Począwszy od Pitagorasa aż do sofistów, t. j. mniej więcej od 500 do 400 roku przed N. Chr., nauka grecka z poglądów mistyczno-poetycznych i kosmogonicznych wznosić się poczęła do systematycznego badania przyczyn ogólnych w otaczającym nas świecie zjawisk. Epokę tę możnaby nazwać epoką gromadzenia materjału naukowego, epoką usiłowań wyszukania sobie drogi, po której pragnął kroczyć rozwijający się duch ludzki. Nauk ścisłe w tym okresie pozostają jeszcze w ramach filozofji, która obejmuje wszelkie wiadomości, nie wyłączając i medycyny.

Mówiąc o tej ostatniej gałęzi wiedzy, należy wymienić przedewszystkiem imię Hippokratesa z Kosu, lekarza - filozofa, który pierwszy skierował ówczesne praktyki lekarskie na drogę naturalnego doświadczenia i wprowadził do nauki myśl o prawomierności zjawisk patologicznych.

W dziedzinie czystej filozofji została po raz pierwszy wprowadzona a jednak posiada mimo to byt rzeczywisty. Przeciwko temu wystąpili filozofowie eleaccy, tak nazwani od południowo - italskiego miasta Elei, gdzie mieszkał założyciel tej szkoły Ksenofanes z Kolofonu (ok. 570 r.). Ten filozof, jak również uczeń jego Parmenides, oraz Zenon z Elei, główni przedstawiciele powyższego kierunku, wyjaśniając teorję swych poprzedników, wprowadzili hipotezę istnienia dwóch światów: świata bytu i świata zjawisk. Dla nauki zasługą ich jest podkopanie ślepej wiary w prawdziwość doświadczenia zmysłowego, stwierdzenie zasady, że z niczego nic powstać nie może, oraz pierwsze próby pokazania trudności, jakie nastręczały rozumowi ludzkiemu pojęcia przestrzeni, czasu i ruchu.

W tymże czasie występują pokrewni im przekonaniami filozofowie szczepu doryckiego, z pomiędzy których wyróżniają się Empedokles z Akragas, Anaksagoras z Klazomenai, Leukippos i Demokritos z Abdery (ok. 460 r.). Potomność nazwała ich twórcami „atomizmu". Naukowy ten kierunek polegał na ustalonem przez Eleatów twierdzeniu, że nic nie może powstać z nicości i nic też do niej nie powróci, są bowiem pewne pierwiastki wiekuiste, a mianowicie: próżnia i atomy. Bez próżni trudnoby sobie wyobrazić ruch, a bez ruchu atomy nie mogłyby się spotkać ze sobą dla utworzenia materji Więc atomy mają w sobie siłę poruszającą, ciągłą i konieczną, coś w rodzaju dążności do wspólnego punktu środkowego. Gdyby jednak siła ta była jedyną, to ostatecznie wszystkie atomy musiałyby się zejść w jednym punkcie, wobec czego należy przypuścić istnienie drugiej siły odśrodkowej, która oddala atomy od punktu ciężkości wbrew popędowi pierwszej siły. Dopiero skutkiem działania obu tych sił, wprost sobie napozór przeciwnych, z odmętu, który był na początku, przez konieczne stykanie się atomów w pewnych punktach powstała materja i cały nasz wszechświat.

Widząc w naturze ład i celowość, uznali, że obok pierwiastków istnieje od wieków świadomy siebie „Duch“, który w pierwotny chaos wprowadził ład i dał początek światu i wszystkiemu. Nie byli jednak zupełnie konsekwentni, gdyż przepisywali „rozumnemu Duchowi“ tylko początek ruchu, dalsze zaś przemiany uznawali jako przyczyny działań fizycznych, mechanicznych, co później zarzucał im często Arystoteles. Co do budowy wszechświata twierdzili, że gwiazdy, oderwawszy się od ziemi przed wiekami wskutek ruchu wirowego, są takiemiż ciałami jak ziemia; że na księżycu, otrzymującym światło od słońca, mieszkają istoty podobne do ludzi; że słońce jest olbrzymią rozpaloną bryłą kruszcu.

Chociaż niewiele znamy imion tych, którzy w tej epoce zajmowali się matematyką, to jednak charakter tej nauki występuje tutaj wyraźniej, niż w okresie poprzednim. Przyczyna leży w pewnej centralizacji wszelkich usiłowań naukowych około rozwiązania trzech zagadnień, które zajmowały umysły ludzkie jeszcze o wiele wieków później, a mianowicie: 1) podział kąta dowolnego na więcej niż dwie części równe; 2) podwojenie sześcianu; 3) kwadratura koła. Zagadnienia te stoją w bliskiej łączności z postępami matematycznemi, z nauką o proporcjach i nauką o przekształceniach powierzchniowych. Chciano rozszerzyć twierdzenia, dotyczące figur prostolinjowych, na koło i utwory przestrzenne, napotykano jednak tak wielkie trudności, że tylko wydatne umysły odważyły się zajmować temi zagadnieniami.

Z pomiędzy pitagorejczyków wyróżniają się Philolaos, Archytas z Tarentu i Dion z Syrakaz, a pod koniec tego okresu Simmias i Kebes z Teb, świadkowie śmierci Sokratesa. Późniejszy filozof Proklos w swym komentarzu do dzieł Euklidesa wymienia z tej epoki mozaiko - matematyka Hippiasa z Elidy jako twórcę linji krzywej, zapomocą której można podzielić kąt na trzy części równe; jest to tak zwana „kwadratrix“, krzywa przestępna; była ona później stosowana do kwadratury koła przez Dinostratosa i z tego powodu nazwana „krzywą Dinostratosa“. Największym geometrą tej epoki był niezaprzecznie Hippokrates z Chios, którego należy odróżniać od wyżej wspomnianego lekarza z Kos. Od niego pochodzi zadanie o średniej proporcjonalnej do dwóch odcinków danych; zajmował się kwadraturą koła, przyczem znaną mu już była niewymierność stosunku obwodu koła do jego średnicy, więc usiłowania swe kierował dość racjonalnie do konstrukcji, przy pomocy której możnaby najdokładniej przedstawić pole koła i obwód okręgu; pozostało nam w geometrji szkolnej jego twierdzenie znane pod nazwą „księżyców Hippokratesa“ (lunula Hippocratis). Prace jego prowadził w dalszym ciągu Antiphon, współczesny Sokratesowi, próbując rozwiązać powyższe zagadnienia przy pomocy foremnego wielokąta, wpisanego w koło, podwajając liczbę jego boków.

Sumując rezultaty, musimy stwierdzić duże zdobycze naukowe tego o-

kresu: zasada praw niezmiennych rządzących światem, idea pierwiastków niezniszczalnych, niezmniennych wśród wiecznych przemian kształtu, oddzielenie siły od materji, pojęcie próżni i rozdrobnienie materji na atomy, nakoniec idea nieustannego rozwoju (ewolucji), odbywającego się nietylko w jestestwach organicznych, lecz również w całym wszechświecie — wszystko to są pojęcia niesłychanie ważne nietylko dla samej nauki, lecz także dla ogólnego rozwoju oświaty w narodzie greckim i całem człowieczeństwie.

prof. Zyg. Dąbrowski.

Z pamiętnika rosyjskiego oficera-Polaka *)

Żywności forteczka posiadała na 4 miesiące, natomiast brak opału powodował ponury nastrój. Odsieczy nie można było się spodziewać, gdyż najbliższe oddziały wojskowe były w odległym o 370 klm. Aralsku (bataljon piechoty i 2 setki kozaków). Od Orenburga do Perowska było 1500 klm. Ogarew wyznaczył wypad na 17 grudnia pod kierunkiem starego Polaka, podpułkownika Szkupa, który z nadzwyczajną energją zajął się rozdawaniem broni i kul, żartami podnosił na duchu żołnierzy, stale ćwicząc ich. Kazał dobrze naostrzyć bagnety i radził kłuć niemi przeciwnika pod żebra, by nie zabijać odrazu, lecz spowodować jaknajwięcej krzyku i przerażenia, co zapewni zwycięstwo. Opowiadał o bogatej zdobyczy, która czeka Rosjan w obozowisku azjatów. Przypominał o głodzie i chłodzie, panujących w fortecy, a w dodatku jeszcze o hańbie w razie porażki. Kowalom kazał wykuć wielką ilość specjalnych gwoździ do zagwożdżenia armat, wesoło pouczał żołnierzy, jak należy się niemi posługiwać, dowodząc przy ogólnym śmiechu, że armata straszna tylko wtedy, gdy strzela. Obiecał krzyż św. Jerzego każdemu, kto zagwoździ armatę. Posiadając 6 armat, kazał koła owinąć słomą, by zagłuszyć turkot po zmarzłej grudzie. Pewnego dnia wreszcie oświadczył uszykowanym żołnierzom, że przed świtem uderzą na wroga i przysiągł, że jeśli nie zwycięży, złoży swą głowę na polu walki. Przed wymarszem wydano wojsku dobrą porcję wódki. W fortecy pozostało 50 kozaków i zwykła warta. Na szczęście przed świtem spadła mgła. Tylko dzielni kozacy uralscy potrafili przeprowadzić oddział przez wertepy i skierować wprost na obozowisko kokandczyków, którzy byli znużeni bezczynnością i spali, nie spodziewając się żadnego niebezpieczeństwa ze strony bezsilnych Rosjan. Dzięki brakowi wartowników udało się dotrzeć do śpiących nieprzyjaciół bez hałasu.

Przy pierwszych krzykach jednak wszyscy się zbudzili i rzucili się na Rosjan. Działa ich zaczęły ostrzeliwać. Okazało się, że Rosjanie byli w kotlinie, kokandczycy zaś zajmowali wzgórze, z którego prażyła ich artylerja (6 armat). Szkup wysłał kozaka do fortecy po ostatnie rezerwy, które powinny były zabezpieczyć odwrót. Gdy przeciwnik dostrzegł zbliżający się z fortecy oddział, wyolbrzymiony przez mgłę i wykazał chwiejny nastrój, Szkup rzucił się do ataku, wpadł w środkową część obozowiska, zajętego przez głównego wodza azjatów z liczną świtą i mnóstwo kupców z olbrzymią ilością różnych towarów. Wielbłądy, przerażone zgiełkiem walki i strzelaniną, rzuciły się do ucieczki. Setki tych zwierząt obalały w dzikim pędzie namioty, tratując ludzi. Jęki i wrzaski zranionych i konających zwiększyły panikę i zamęt do ostatecznych granic. Wodzowie dosiedli rumaków i rzucili się do ucieczki. Żołnierze mordowali okrutnie otoczonych w obozie. Kozacy rzucili się w pogoń za uciekającymi i wytrzebili ich wielką liczbę. Do rąk Rosjan wpadło 20 armat i 2 moździeże, prawie 1000 kibitek i olbrzymie zapasy żywności i amunicji (przeszło 3.200 kg. prochu). Zwycięstwo było oszałamiające, poprostu nie do uwierzenia. Przeskok od roz-

*) Patrz Nr. 5.

paczy do szczęścia był nieprawdopodobnie gwałtowny. Komendant Ogarew przeżywał mękę niepewności, gdy przybył kozak z kartką Szkupa o kompletnem zwycięstwie. Ogarew udał się na pole bitwy, ledwo nie udusił w swych objęciach Szkupa, wysłał w pogoń kozaków i wiernych kirgizów, kazał przewieźć zdobycz do fortecy i niezwłocznie ułożył przesadne sprawozdanie dla Perowskiego, donosząc o 5000 zdobytych wielbłądach. Tymczasem kozacy i okoliczni kirgizi rozpoczęli dziki rabunek obozowiska. Wszczęły się między rabusiami bójki, wywiązała się formalna bitwa. Pewna część zdobyczy uległa wskutek tego zniszczeniu. Kirgizi zabierali w stepy bydło i kibitki. Żołnierze kradli materjały i inne towary. Rozpromieniony Szkup nie przeciwdziałał. Rozumiał, że byłoby to niezmiernie trudnem. Przecie sam przyobiecał rozdanie zdobyczy, zachęcając żołnierzy do zdobycia obozu. Chaos wytworzył się tak potworny, że gdyby kokaneczycy wrócili, wytłukliby co do nogi Rosjan, którzy nawet armaty pozostawili bez obsługi. Dopiero w nocy przywieziono do fortecy armaty, proch, ołów i nieco innej broni palnej i siecznej. Reszta olbrzymiej zdobyczy uległa zniszczeniu lub rozgrabieniu. Rozpoczęło się dzikie pijaństwo. Żołnierze za butelkę wódki płacili narabowanemi złotemi monetami o wartości 4 rb. 50 kop.

Gdy Perowski otrzymał raport Ogarewa o olbrymiej zdobyczy, przesłał to doniesienie carowi. Z Petersburga nadeszła nominacja Ogarewa na generełmajora. Chwile zachwytów i uniesień wkrótce minęły i zatriumfowała gorzka rzeczywistość. Ogarew z oburzeniem i trwogą skonstatował, że rozporządza zaledwie znikomą częścią zdobyczy, podanej w wykazie, i zaczął maltretować Szkupa. Obrażony Polak publicznie oświadczył mu: „Panie pułkowniku, ja zwyciężyłem kokandczyków. Dzięki mnie pan został uratowany, pozbył się straszliwej odpowiedzialności i zdobył sławę. Od pana zależało uratowanie zdobyczy". — Straszliwie poirytowany Ogarew kazał odbierać od kirgizów i załogi wszystko, co pochodziło z obozu nieprzyjacielskiego. Ponieważ znaczna część towarów i bydła przeszła już do rąk osób trzecich, odbieranie wywołało wielkie oburzenie. Wkońcu zdołano zgromadzić 156 wielbłądów, 87 koni, 59 kibitek i pewną ilość drobnych przedmiotów. Chociaż Ogarew przy szczególnej relacji przysłał piękne rysunki zdobytych armat, wściekłość Perowskiego była bez granic. Na głowę Ogarewa posypały się przekleństwa. Wkrótce usunięto go z twierdzy. Natomiast Szkup dostał awans na pułkownika i krzyż św. Jerzego 3 st. Prawie wszyscy żołnierze otrzymali odznaki i roczną pensję. Oprócz tego Perowski wiedząc, że Szkup lubi pohulać, posłał mu dwie skrzynie dobrego wina, prosząc, by z kolegami pił jego zdrowie. Szkup napcił wódką wszystkich żołnierzy, wystarał się dla wielu o krzyże św. Jerzego. Gdy te odznaki nadeszły, znów odbyło się „oblewanie". Trubecki został awansowany na podchorążego. Długo musiał oczekiwać rezolucji cara, który widocznie niełatwo zapominał o cudzych grzechach. Perowski planował oddawna o nowej wyprawie celem zdobycia dalszych terytorjów. Gdy doniesienie o 500 wielbłądów i 1000 kibitkach, tak potrzebnych podczas wyprawy, okazało się fantomem, zły był okrutnie. W marcu 1854 otrzymałem od niego rozkaz zająć stanowisko Ogarewa. Przyzwyczailiśmy się do spokojnego życia w Orsku. Mieliśmy półrocznego pierwszego synka. Wobec tego podróż nas przerażała, lecz w poczuciu swej bezsilności pomodliliśmy się i rozpoczęliśmy przygotowania do podróży.

Przed wyjazdem zaskoczyła nas okropna powódź. Orsk leży nad rzeką Uralem, do której wpada rzeka Or. Połączone fale obu rzek zatopiły prawie wszystkie domy kozaków i cerkiew. Gdy żywioł sięgnął po ganek mego domu na dość wysokiem podmurowaniu, wypadło uciekać chłopskim wozem. Ludność ratowała się na dachach, pozostawiając na pastwę wody dobytek. Wszystkie wojskowe składy i magazyny z prowiantem zostały zatopione. Prawie 2000 wozów mąki rządowej, przeznaczonej dla stepowych załóg, woda porwała. Te worki pływały między domami. Żołnierze na łodziach wyłapywali je. Znaczną część mąki udało się wyratować i wysuszyć. Natomiast cukier i krupy uległy całkowitemu zepsuciu. — Skutkiem tego oddział mój wyruszył dopiero w połowie maja. D. c. n.

Niektóre szczegóły z życia angielskich polityków i monarchów

Anglicy są najzdrowszym fizycznie, umysłowo i moralnie narodem w Europie, najstaranniej się ubierają, najwięcej dbają o dzielność ciała i dlatego najdłużej pozostają młodymi i silnymi, wreszcie najszlachetniej traktują przeciwników politycznych we własnym kraju i najbardziej brzydzą się kłamstwem. Zwłaszcza zdumiewającą i godną naśladowania jest tolerancja i życzliwość w stosunku do przeciwników politycznych, o czem świadczy m. in. następujący wypadek. Gladston i Joseph Chamberlain byli zawziętymi przeciwnikami. „Wielki starzec" podlegał ostrym atakom i bezwzględnej krytyce Chamberlaina, w którym rozczarował się zupełnie z powodu niezwykłej zmienności jego przekonań. Nic dziwnego, że gdy syn Chamberlaina Austin (przed r. 1930 minister spraw zagranicznych) podczas swej pierwszej mowy w parlamencie czuł się zażenowanym i nie mówił gładko, a Gladston zapisał się jako następny mówca, — ojciec zdradzał wielkie zaniepokojenie. Jakież było jego zdumienie i wzruszenie, gdy starzec swym donośnym głosem złożył Izbie powinszowania z powodu tak częstego i zbawiennego zdarzeniach w dziejach Anglji, jakiem jest wystąpienie dzielnych synów w zawodzie, uprawianym przez wielkich ojców. Ta kontynuacja pracy jest podstawą wielkości Anglji. „Mam nadzieję, że młodzieniec ma przed sobą karjerę godną jego nazwiska i pełną pożytku dla kraju." Gdy ojciec to usłyszał, łza spłynęła po jego twarzy. Zapewniają, że była to jedyna łza i w jego życiu. Jakżeż odmiennemi są zwyczaje w Niemczech np. *Gdy Herbert Bismarck wystąpił po raz pierwszy w parlamencie* jako sekretarz stanu, centrowcy, socjaliści i postępowcy przerywali śmiechem i krzykami mowę syna największego męża stanu Niemiec. W r. 1895 w parlamencie przepadł projekt uczczenia 80-letniej rocznicy żyjącego jeszcze Bismarcka. Z tego powodu ówczesny ambasador francuski w Berlinie powiedział: „Niemcy mogą mówić i wysilać się, ile im się podoba, lecz nigdy nie będą wielkim narodem." Całkiem podzielamy tę opinję Francuza, lecz całkiem rozumiemy wrogi stosunek posłów do takiego potwora moralnego, jakim był Bismarck.

Jedną z najciekawszych postaci w Europie ostatnich dziesięcioleci przed wojną był Edward VII. Syn Wiktorji i Niemca ks. Alberta czuł wstręt do niemieckich obyczajów i pojęć i nienawidził gadułę, pyszałka i chama Wilh. II, który był synem jego ulubionej a poniewierane przez Wilh. siostry. To są jego słowa o niemieckiej kobiecie, której zainteresowania ograniczają się do trzech K: Küche, Kinder, Kirche (kuchnia, dzieci, kościół). Edward lubił Francję i Francuzów, francuską sztukę i aktorki (w Paryżu istnieje teatr im. Edwarda VII), używał życia szeroko i wszechstronnie. Zarzucano mu nawet niewierność względem żony, królewny duńskiej, która była siostrą carowej Marji Teodorówny, matki Mikołaja II. Królowa Anglji nienawidziła „betsjalskich niemców" za pogrom Danji w r. 1864 i podsycała nienawiść w mężu. Edward był magistrem elegancji dla całej Europy, tworzył nowe mody, np. jakiś kapelusz, posiadał wyścigowego rumaka, który zdobył dlań nagrody wartości kilku miljonów złotych. Edward posiadał niezwykły talent dyplomatyczny i był twórcą porozumienia z Francją i Rosją, czyli okrążenia Niemiec, które dyszały taką nienawiścią ku Anglji, że gdy w r. 1901 Edward przybył do Berlina na pogrzeb swej siostry, tłumy spotkały go bezczelnemi i bezmyślnemi krzykami nienawiści, na jaką stać tylko Niemców.

P. Ganżyński.

Od Administracji

Prosimy półrocznych prenumeratorów o niezwłoczne odnowienie prenumeraty na II półrocze. Zalegającym z opłatą wstrzymamy wysłanie pisma.